N^er 16. Kraków 20 kwietnia 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny", albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można za pośrednictwem wszystkich księgarni.

Powtarzamy, że ilekroć są załączane przy Nrze dodatki, zawsze wtedy są odnośne litery na adresie czerwono podkreślone, a mianowicie: m(ody), n(uty), B(iblioteka).

Biuro redakcyi otwarte jest codziennie, wyjąwszy niedziele i święta od godz. 9 do 12 rano.

Pojedyńczych Nrów „Kaliny" nie sprzedaje się. Tylko Prenumerujący w razie niedojścia lub zatracenia Nru mogą reklamować.

Tragedyja grecka w góralskiéj chacie.

(SZKIC POWIEŚCIOWY)

osnuty na prawdziwém zdarzeniu.

W dolinie Raby o parę mil od bitego gościeńca, prowadzącego ku Nowemu-Targowi, leży wśród nagich i jałowych pagórków nędzna, góralska wioska. Niebielone chaty bezładnie i zdaleka od siebie porozrzucane, jak ptasze gniazda, czepiły się pagórków, chroniąc się przed gwałtownemi wylewami rzeki, która teraz wysuszona gorącém słońcem, sączyła się i ciekła powoli po kamieniach. Po pagórkach zieleniły się rzadkie owsy, gdzieniegdzie łasu trochę, a zresztą pola odłogiem leżące, macierzanką i rozchodnikiem porosłe. I mieszkańce równie jak okolica biedni, od ciężkiéj pracy i niedostatku karłowatego wzrostu, włosów płowych, oczy jasne przy ciemnéj, spalonéj słońcem i wynędzniałéj cerze czyniły twarze mdłe i bez wyrazu. coś zwierzęcéj głupowatości przebijało w tych twarzach. Nie rzadko także można było spotkać górali z wydętemi gardłami. Zresztą po co szeroko opisywać? Nędza co rok setkami wygania tych ludzi w doliny za zarobkiem, spotkać ich można po miastach żywiących się ostrużynami, wyrzucanemi na podworze, po dworach łakomo dopominających się przy robocie o dobre jedzenie, jakby chcieli się najeść na całą zimę i wynagrodzić sobie głodny przednowek. Skąpstwo i łakomstwo ich wstrętne jest mieszkańcom dolin i uszczypliwemi piosnkami lub złośliwym żartem chłostają ich za to.

W takiéj wiosce, wśród takiego ludu przyszło mi raz zabawić parę tygodni w powrocie z Tatrów. Przykrą mi była ta nagła zmiana osób i dekoracyj. Przywykłemu do śmiałych linij tatrzańskich szczytów, do gwarnych a przejrzystych potoków, do ludu wysmukłego o pięknych profilach nudno było wśród téj prozy nędzy bez śmiałych polotów, czołgającéj się po ziemi z pochylonèm czołem. Ale powoli przywyknąłem. Wśród największéj monotonności i nudy, człowiek musi i może znaleść sobie zajęcie i piękno. W braku olbrzymich widoków, szuka sobie małych obrazków; nie wielki staw lub ciche jezioro musi mu zastąpić niezmierzone przestrzenie Oceanu; brzozowy gaik kołyszący się na wzgórku, cmentarz kościelny z miękką murawą ocieniony lipami, równie staną mu się mile jak rozległe łasy lub wspaniałe widoki. Człowiek pragnie wiele, ale konieczność zmusza go przestać na małém, zgoda z jego strony nazywa się szczęściem. Tak było i ze mną.

Rozpatrzywszy się dobrze w tym zakątku, nie znalazłem go tak strasznym, oswoiłem się i co więcéj, przylgnąłem doń. Wśród téj przyrody nędznéj i skąpéj umiałem sobie wyszukać kilka miejsc piękniejszych, gdziem z przyjemnością długie przesiadywał godziny. Szczególniéj upodobałem sobie jedno wzgórze, przez które szła droga do wioski. Na wzgóru stała obdarta kapliczka, obwiedziona nizkim murem, ułożonym z rzecznych kamieni. Kilka wisien ocieniało ją, ptastwo trzepotało się i świergotało wciąż między gałęziami. Kapliczkę zamykała krata, nad którą był napis niezgrabny, czerwony na czarnéj tablicy:

Ta kaplica stanęła
z fundacyjej
Jana Palika, któren prosi
o westchnienie pobożne za swojom duse.

W kapliczce stał na ołtarzyku Chrystus niezgrabnie wyciosany z drzewa przez wiejskiego rzeźbiarza, niżéj obrazek Matki Boskiéj malowany na blasze, ubrany w uschłe wianki, przed ołtarzem trzy lampki nalane łojem. — Kaplica stała zdala od wioski, w ustronném, trochę ponurém miejscu, z obu bowiem stron drogi był las świerkowy, ciemny i gęsty, trochę z brzega wycięty — a w tém miejscu sterczały pnie obrane z kory

wśród zielonéj borowiny. Polubiłem to miejsce tak dla ciszy i samotności, jak i dla tego, że z tego wzgórza przestronny był widok na okolicę. W ramach świerkowego lasu pokazywały się w dali równoległe podnoża karpackie coraz wyższe, niby stopnie do nieba, coraz bardziéj sine i blade, aż ostatnie ich kończyny zlewały się z błękitem nieba tak, iż trudno było nieraz rozeznać na krańcach widnokręgu czy to Tatrzańskie ubielone śniegiem grzbiety, czy białe obłoki tak się rumienią od wschodzącego słońca. Na boku widać było kawałek poważnéj Babiéj Góry za przezroczystą zasłoną mgły niebieskawéj.

Drugiego dnia po przybyciu mojém w ową okolicę, odszukałem to miejsce i odtąd stało się ono celem moich wieczornych spacerów.

Czwartego dnia (jeżeli sobie dobrze przypominam), kiedym idąc pod górę zbliżał się ku kapliczce, ujrzałem koło muru parę krów skubiących trawę; zbliżywszy się bardziéj dostrzegłem, że drzwi kapliczki były otwarte i jakaś goralka zapalała lampki i ustawiała je na ołtarzu. Chód mój po kamienistéj drodze zwrócił jéj uwagę, obejrzała się — nie zdziwiła się, ani przestraszyła, przypatrzyła mi się spokojnie, uważnie, potém odwróciła się do ołtarzyka.

Przywitałem ją słowem bożem jak zwyczaj każe. Odpowiedziała mi nie przerywając sobie zatrudnienia.

Zdziwiła mnie twarz a bardziéj jeszcze obejście dziewczyny. W mowie jéj nie było nieśmiałości dziewcząt wiejskich ani zakłopotania, mówiła pewnie, spokojnie, nawet obojętnie, jak człowiek co z łaski rzuca słowa lub nie dba o ludzi. I twarz jéj była inną od tych, jakie widziałem we wsi. Słońce i praca nie spaliły i nie zeszpeciły jéj, była biała a raczéj blada bladością róż miesięcznych stojących w cieniu, boleść czy choroba przebyta dawały téj twarzy wyraz smutnego unużenia, znękania. Oczy miała czarne, przepaściste a tak zamyślone, że choć je czasem obróciła na mnie, zdawała się nie widzieć mnie — wzrok jéj szedł gdzieś naprzód w przestrzenie. Wieczór, oświecona skośnemi jaskrawemi promieniami zachodzącego słońca, wydała mi się dziwném zjawiskiem, bałem się by nie znikła, nie odeszła, chciałem ją przytrzymać rozmową.

— A dla czego ty się zajmujesz tą kapliczką — wszak to do kościelnych bab należy? — zagadałem ją.

— To wy chyba nie nasz, kiedy o to pytacie?

— Ja z Krakowa — jestem tu nie dawno.

— We dworze?

— Nie, na plebanii.

— U dobrodzieja? — tak — dodała przeciągle zapadając w zamyślenie.

— I czemuż ty sama ubierasz tę kaplicę? — powtórzyłem.

— Bo się ludzie boją téj kaplicy. Mówią, że tu dusza pokutuje.

— A ty się nie boisz?

— Nie — odpowiedziała krótko.

W kościółku za lasem odezwał się dzwonek na Anioł-Pański, dziewczyna klęknęła przed kapliczką, przeżegnała się nabożnie i poczęła półgłosem mówić Zdrowaśki. Wokoło panowała uroczysta cisza usypiającéj przyrody — słuchałem szmeru modlitew dziewczyny i zadumałem się poważnie. Słonko skryło się za Babią-Górę, na polu pociemniało już dobrze, w ciemności między drzewami przelatywały świętojańskie robaczki — za murem kapliczki jałówka kołatała blaszanym dzwonkiem u szyi.

Po chwili dziewczyna wstała i nie zważając wcale na mnie, podniosła pręt z ziemi, poszła w krzaki i wygnała krowy na drogę.

Nie wiem dla czego, ale nie miałem ochoty zostać dłużéj przy kapliczce, tajemnicza jéj legenda zrobiła na mnie dziwne wrażenie, poszedłem więc ku wsi wraz z dziewczyną w nadziei, że się czegoś od niéj dowiem.

— I któż tu pokutuje? — spytałem.

— Dusza — odrzekła naiwnie.

— Ale czyja?

— Nie wiem. Pytałam o to tatusia, ale machnęli tylko ręką i nic nie powiedzieli. Więc to może bajka, co ludzie mówią we wsi.

Schodziliśmy ze wzgórza, las się kończył — po jednéj stronie lasu były moczary i bagniska gęsto zarosłe sitowiem i zielskami. Pełnia księżycowa oświecała jasno okolicę. Gdyśmy tamtędy przechodzili, coś zaszeleściało w sitowiach, obejrzałem się i przestraszyłem. Wśród rozchylonych zielsk zobaczyłem kobietę starą i wychudłą, z oczami błędnemi mocno na wierzch wysadzonemi, przez potarganą koszulę widać było ciemną skórę. Wyskoczyła z moczarów zabłocona, ustrojona w zielska i trawę, pokręciła się na środku drogi, zaśmiała dziwnym głosem i poleciała ku wsi, śpiewając wrzaskliwie jakąś piosnkę bez związku i bez harmonii.

— Któż to jest? spytałem dziewczyny, która smutnym ale spokojnym wzrokiem patrzała za lecącą.

— To moja babka, matka tatusiowa, nie ma spełna rozumu — wiecie?

— I czemuż jéj nie zamykacie?

— A po co? Nikomu nic złego nie robi — najczęściéj siedzi tu na moczarach i śpiewa Bóg wie co.

— Gdziesz ty idziesz? spytałem widząc, że dziewczyna skręca z drogi.

— Do siebie — o, tam nasza chata. Ostańcie z Bogiem.

Chata stała trochę na boku od wsi, w progu siedział jakiś góral, ze zwieszoną głową.

— Hanka, gdzie ty tak długo siedzisz? spytał ponurym głosem nadchodzącéj dziewczyny.

— U kaplicy, tatusiu.

Dalszéj rozmowy nie słyszałem, bo stanąć nie wy-

padało, a oni cichszym głosem zaczęli mówić. Niezatrzymując się więc, wróciłem do domu.

Księdza, u którego mieszkałem, nie zastałem — wyjechał do chorego. W pokoiku siedział tylko ojciec jego, stary góral i rozczytywał się w kalendarzu. Chodziłem jakiś czas koło stołu, myśląc o tajemniczéj kapliczce i dziwném spotkaniu dzisiejszego wieczora — wszystko to kołowało w mojéj glowie, jak ciemne zagadki, do których rozwiązania napróżno szukałem klucza we własnéj głowie. Wreszcie ciekawość przemogła i czepiłem się starego górala.

— Czy to prawda — spytałem, że koło kaplicy na wzgórzu złe jakieś chodzi?

— Pan tam byłeś?

— Wracam ztamtąd.

— Sam?

— Jakaś młoda dziewczyna była tam także.

— A, to Hanka, nikt inny być tam nie mógł. Dawniéj pamiętam, matka jéj stroiła ołtarz każdéj soboty, a teraz odkąd tamtę na mogiłki wynieśli, Hanka zbiera na ołtarz kwiaty po łąkach i lampy nalewa, bo ona także Palikówna, fundator téj kaplicy, pradziadem jéj wypada.

— I cóż on takiego zrobił, że taką pamięć po sobie zostawił?

— Długa to historyja.

— Pewnie i ciekawa?

— Tak, straszna.

Poprosiłem starego, by mi opowiedział, nie dał się długo prosić i tak mówił:

— Było dwóch braci — obadwaj byli biedni, ale żyli zgodnie. Starszy z nich (a był nim właśnie ów fundator kaplicy), miał już żonę i syna, Kuba siedział przy nich komornem i pomagał im w pracy. Ale nastał ciężki przednowek, ludzie we wsi marli od głodu, albo zapadali na różne choroby jedząc niezdrowe zielska. Wtedy młodszy brat, żeby nie być ciężarem rodzinie, poszedł w świat za zarobkiem na Węgry. Znał ciesielkę i nie źle mu się wiodło w dolinach. Tak wędrując od wsi do wsi, znalazł raz przy gościńcu z daleka od mieszkań ludzkich, starego dziada, którego tłukła wielka choroba. Kuba wziął się do ratunku, wbił mu gwóźdź za paznokieć serdecznego palca i dziad przyszedł do siebie. Poczęli gwarzyć i pokazało się, że dziadowi nie obce były te strony, z których był Kuba, choć pono nie tu się rodził. Co go Kuba zagadnie o rodzinę, o dawne życie, to dziad się zasępi i milczy, jak święta ziemia, co grób zakrywa. Po chwili znowu go porwała choroba i szamotała nim tak, że mu skaplerze i medaliki trzęsły się i dzwoniły po piersiach. Gdy oprzytomniał, był osłabły mocno i stękał.

— A możeby wam po księdza? spytał Kuba.

— Byłem, spowiadałem się w tamtéj wsi — rzekł dziad ponuro — ale mi strach iść do grobu, gdy nie wykonam, co ksiądz kazał.

Kuba odsunął się z przestrachem od dziada i trwożnie zapytał:

— A czémże wy tak srodze Boga obrazili?

Dziad długo milczał i patrzał w ziemię, potém rzekł:

— Słyszałeś ty co o tatrzańskich zbójnikach?

— Byłem małym chłopcem, kiedy starosty hajduki robili na nich wielką obławę.

— Tak, to było wtedy — mówił dziad tonąc myślą w wspomnieniach. W Porębskich lasach otoczono nas, było nas dwunastu, bronić się było niepodona. Zeszliśmy się więc kolo jednego modrzewia, zakopaliśmy pieniądze i broń, a potém rozbiegliśmy się po lesie, usilując pojedyńczo prześlizgnąć się przez obławę. Nie wiem, jak się tamtym udało — ja umknąłem. Ale — prawda, przed rozejściem przysięgliśmy nie tknąć zakopanych skarbów, aż do roku. Wtedy mieliśmy o téj saméj porze stawić się do podziału. Na oznaczony dzień stanąłem pod modrzewiem, przeczekałem trzy dni i trzy noce, ale żaden się nie zjawił. Musieli poginąć. Zacząłem więc kopać, ale wśród roboty wysunął mi się z za koszuli krzyżyk, na którym przysięgaliśmy i nie miałem odwagi kopać daléj. Odszedłem, by za rok wrócić znowu. Ale choroba spętała mnie, zdaleka od tamtych stron i potém nie było sił wracać. Z roku na rok odkładałem i tak minęło lat dwanaście na żebrackiéj włóczędze.

— I mówiliście księdzu o tych pieniądzach przy świętéj spowiedzi? spytał Kuba.

— Mówiłem; ale żeby je znaleść, trzeba człeka dobrze świadomego tamtych lasów, a ksiądz powiedział, że dotąd grzech ciążyć będzie na mnie, dopóki te pieniądze na dobry uczynek nie pójdą. A kto to zrobi? Pieniądz łakoma rzecz, powiem komu, znajdzie i zabierze dla siebie — a mojéj duszy nic nie ulży.

— Ja biedny góral — rzekł Kuba, ale jeżeli mi zawierzycie, to zrobię jak każecie.

Dziad spojrzał mu bystro w oczy i długu się wachał i namyślał; potém go spytał:

— Przysięgniesz?

— Przysięgnę.

— Ha, niech będzie. Zrobisz źle, to zgubisz i swoją duszę. Słuchaj!

Tu począł mu tłomaczyć jak i którędy dojść do modrzewia, w któréj stronie kopać i jak głęboko.

— Przy tych pieniądzach — mówił daléj — leży mały woreczek obwinięty w brudne szmaty. To dla ciebie, jest tam trochę grosza, na którym nie ciąży ludzka krzywda — to pieniądze zapracowane przezemnie za młodu. Te weź, a resztę oddaj klasztorom na dobre uczynki.

Kuba wtedy wydobył skaplerz z zanadrza i przy-

siągł. Potém dziad kazał mu iść do bliskiéj wsi do księdza i wszystko to powiedzieć, bo się bał skonać bez rozgrzeszenia. Kuba poszedł, ale gdy wrócił z księdzem, dziad już nie żył. Ksiądz przeżegnał trupa, pokropił i pogrzebał uczciwie — a Kuba wrócił do wsi.

(Ciąg dal. n.)

Nie ideały.

(Ciąg dalszy.)

Teraz gdy chcecie, pójdźcie ze mną daléj —
Pod piękne niebo — gdzie szumią kaskady,
Greckich jutrzenek gdzie ołtarz się pali —
I uśmiech słońca nie jest taki blady;
Lecz wiecznie ogniem purpurowym płonie,
Gdzie są cyprysy i gdzie marzą tonie.

~~Genua~~ Gemza się w lśniącym przegląda krysztale,
Niby dziewczyna z czarnemi oczami —
Dla niéj się w lustro układają fale,
A zalotnica pieszcząc się z falami
Co dzień przychodzi patrzeć się w potoki,
Gdzie są odbite góry i obłoki!

Leman się cały między Alpy schował,
By ztamtąd w niebo mógł patrzeć szeroko.
Wielki go malarz błękitem malował,
I wody jego zatopił głęboko,
By się w nich mogły całe Alpy znużyć,
I tak skąpane, fal modrych nie burzyć.

A gdy na niebie dzień gaśnie i kona,
Gdy zmrok na Leman skrzydłami zapada,
Słychać jak płynie tęskna, rozmarzona
Pieśń — któréj szumiąc wtóruje kaskada
Muzyką — perły gdy o skały ciska —
A każda kropla w pianę się rozpryska.

Teraz to zwiążę jedną wstęgą razem,
Co się w naturze harmonią nazywa.
I udaruję was pięknym obrazem,
Gdzie tysiąc łódek rozrzuconych pływa; —
Leman szeroki otoczył się ciszą,
A fale w łódkach kochanków kołyszą.

Jedna gondola po modrym Lemanie
Snuje się sama — jakby zabłąkana —
Może umyślnie — sza! — słychać szeptanie,
Głos mi znajomy — a i twarz gdzieś znana....
Twarz cudnie piękna — choć cokolwiek blada,
Na tę twarz promień księżyca upada.

Gdy pamiętacie ów dramat w niebiosach,
Dwoje kochanków — późniéj losu burzę—
Poznać możecie po różach — po włosach
Ją. — Ach te same oczy modre, duże —
I ten sam uśmiech anielski na twarzy,
Gondola płynie cicho — ona marzy.

Lecz cóż tu robi dzisiaj na jeziorze,
Wpośród szwajcarskiéj wspaniałéj natury?
Czy ją tęsknota zabłąkała? może
Między lemany, kaskady i góry?
Nie — lecz zajrzyjmy głębiéj — w pawilonie
Widzę w jéj rączkach malutkich dwie dłonie

Obce — zapewne kochanka młodości,
Co z nią przemarzył niebo na téj ziemi?
Gdzietam! zanadtobym pospolitości
Wmieszał do rymów, wolę między niemi,
(Przyznam się, robię to dla większéj sławy,)
I... stawiam przepaść straszną do przeprawy.

Przepaść ta jestto mąż najrealniejszy,
Jakiego Pan-Bóg mógł stworzyć na ziemi,
Od saméj prozy mniéj poetyczniejszy.
Ona go pieści rączkami małemi,
Księżyc spogląda na nich — gwiazdy blade,
Za niemi słychać szumiącą kaskadę!...

Więc mąż i ona spędzają czas wiosny
W szwajcarskich górach — a gdzież jest kochanek?—
Minął w obłokach paroksyzm miłosny —
I podeptany w chmurach leży wianek,
Resztę wiatr rozwiał.

(Dok. nastąpi.)

RYWALE.

(SZKIC Z OSTATNIEGO KARNAWAŁU.)

(Dokończenie.)

Blondyn zawrzał gniewem, siadł w kącie zachmurzony i myślał jak pomścić się na szczęśliwym rywalu. Nagle rozjaśnił czoło, oczy złośliwie mu się zaświeciły — wziął za kapelusz i wyniósł się cichaczem z pokoju.

Zanim powiem w jaki sposób zemścił się *kanarek* — muszę czytelniczkom dać małe objaśnienie.

Kiedy Blondyn i Brunet wybierali się na wieczór do państwa X., wszedł właśnie do nich kolega szkolny i przyjaciel Blondyna, świeżo przybyły ze wsi. Blondynkowi ta wizyta wcale była nie na rękę — do przedbalowych zajęć przybyło mu jeszcze jedno — przyjaciel. Spłaciwszy więc pierwszy dług przyjaźni serdecznym pocałunkiem, wrócił do lustra, usiłując za pomocą różnych przyborów toaletowych uczynić widocznemi swoje

pierworodne wąsiki, składające się najmniéj z dwódziestu włosków.

— Daruj Julku, że cię tak przyjmuję — odezwał się — ale widzisz, idziemy na bal.

— Owszem, nie przeszkadzam ci — kończ się ubierać. Nawet mogę was podwieść, mam swoje konie.

— Pan masz swoje konie — odezwał się Brunet — a to doskonale, to napowrót nie będziemy potrzebowali chlapać się po błocie.

— Nieoszacowany jesteś Julku — dodał Blondynek uradowany, że tak korzystnie zużytkował uczucia przyjaźni.

Kiedy zeszli na dół i mieli już siadać do bryczki — Brunet założywszy kukera — spojrzał na konie i powozik i pokręcił głową.

— Konie doskonałe — rzekł — ale drynda stara i zabłocona, tak niepodobna jechać do państwa Radców — toby na nas złe światło rzuciło. Ale wiecie co, ja pożyczę lekkiego powozika od stróża państwa R., któremu wyleczyłem żonę.

— Ależ państwo R. czy pozwolą? —

— Wyjechali na wieś starym powozem. Czekajcież mnie w cukierni Clotina — przyjadę po was. — A w eleganckim powoziku to jakoś przyzwoiciéj i pokaźniéj będzie.

W pół godziny dwaj nasi rywale w ładnym, lekkim powoziku zapinając z pospiechem białe rękawiczki, z okazyi powozu następujące w duszy prowadzili monologi.

— A to się doskonale wydarzyło myślał Brunet. Rozumie się, że Radcostwo będzie przekonane, że to mój powozik i konie. Trzeba będzie nieznacznie z tém się wygadać.

— Poczciwy Julek, jak w porę się zjawił — marzył Blondyn — niema to jak przyjaźń. Smiało będę mógł powiedzieć, że zajechałem własnemi końmi, bo Julek a ja — to jedno. Mój Boże, my się tak kochamy. Takie wystąpienie z własnym ekwipażem przed Radcostwem wiele mi pomoże.

Jak widzieliśmy Blondynek zawiódł się w oczekiwaniu — Brunet uprzedził go i przekonał mamę i Różę i Wicunię, że to jego powozik — Blondynek ledwie miał sposobność pochwalić zię z tém przed Radcą i panną Eulaliją. — Zawiedziony srodze w nadziejach, upokorzony przez Bruneta, postanowił się pomścić.

— Poczekaj — rzekł groźnie wychodząc z pokoju Radcostwa. — Powozik twój, ale konie moje.

Wyszedł na ulicę.

— Janie, odprzęgnij konie i jedź do domu — rzekł do woźnicy czekającego na nich od godziny.

— A cóż będzie z powozikiem? —

— Tu dadzą inne konie.

Służący zrobił jak rozkazano — a Blondynek zatarłszy ręce z radości — zniknął w ciemnéj ulicy.

Tymczasem Brunet niedomyślając się jakiego figla wypłatała mu zazdrość kolegi (bo po odejściu Blondyna wyjrzawszy oknem, widział powóz, więc był przekonany, że rywal piechotą wrócił sobie do domu) — brnął daléj w afektach miłosnych do Wicuni.

— Powinszować sukcessu — szepnął Vortänzer ściskając mu rękę.

Brunet uśmiechnął się z pewną dumą.

— Słuchajno, dlaczego ty nie chciałeś wybieranych figur? —

— Nie lubię ich.

— Jesteś nieszczery — nie lubisz rywali.

— Może.

— Więc ci się Wicunia podoba?

— O! podobałaby się bardzo, gdybym był pewny....

— Że cię kocha? —

— Nie, że ma coś...

— Że ma, to pewnie.

— Ale wiele? —

— Poczekaj, i o tém się dowiemy. Mam stryja, który jest przyjacielem Radcy, przez niego dowiemy się prawdy.

— Będę ci winien moje szczęście. Ale słuchajno — uwolnij mnie od Róży, ta panna czepia się mnie jak oset. Udaj, żeś nią zajęty — to cię przecież do niczego nie obowięzuje.

— Będzie to zawsze z méj strony poświęcenie, które będziesz musiał jutro okupić śniadaniem.

— Dobrze.

Tak więc panna Róża za śniadanie została sprzedaną Vortänzerowi. Niemógłbym jéj teraz nazwać nieoszacowaną, bo ją oszacowali i to tak niegodnie.

Po ułożeniu tego planu wojennego dwaj młodzi ludzie rozeszli się i rozpoczęli oblężenie.

— O! pani, cobym dał za to, żeby ten wieczór trwał wieki — odezwał się Brunet do Wicuni.

— Żeby choć godzinę, powiedz pan, bo i tyle już nie potrwa. O! państwo B. już się zbierają. Jak ubędą trzy panny, kto będzie tańczyć. Gdyby ich zatrzymać jeszcze.

Brunet rzucił się do właścicielki trzech córek.

— Pani dobrodziejka, już do domu?

— Dwónasta, a ani ja, ani córki nie mamy kartek wolnego chodzenia po nocy.

— To nic nie szkodzi. Ja panie odwiozę, moje konie czekają przed domem.

Mama poczęła się wahać. Jeżeli młody człowiek tak usilnie prosi, żeby jéj córki zostały, toć nie bez powodu. Ha, dzićj się wola nieba! Czegóż matka nie zrobi dla szczęścia trzech dobrze już dorosłych córek. Pani B. została.

Zabawa ożywiła się znowu — wszystko było w różowym humorze, rozhulało się i rozbawiło. Trzy panny były w nadziei, że Brunet niemi zajęty — Brunet był w nadziei, że z pomocą serca panny Wicuni

otworzy szkatułę pana radcy — reszta tancerzy miała nadzieję, że taca z winem i przekąskami zjawi się jeszcze. Te nadzieje ożywiały wszystkich i dodawały ducha. Nawet pan Y. uważał za stosowne puścić się przysadzistego walca ze swą ospowatą połowicą, której nikt nie brał dotąd do tańca. Puścił się z uczucia obowiązku małżeńskiego i wdzięczności, za 100,000 rs. które wziął za nią w posagu.

O trzeciéj nad ranem dopiero zakończono tany. Kwadrans trwało ostudzenie trzech panien, rozgrzanych tańcem i nadzieją..... poczém rozpoczęły się pożegnania— całowania — ustawiczne powtarzania na różne tony: dobra noc, dobréj nocy, nocy dobréj, itd.

Brunet ucałowawszy pulchne rączki pani radczyni, która prosiła, by o nich (tj. o domu, nie zaś o rączkach) nie zapominał i Wicuni — rozpromieniony podał rękę właścicielce trzech córek i sprowadził ją na dół.

— Ależ tam błoto być musi, bo deszcz gęsty pada.

— To nic, pani — powóz mój nakryty — proszę, niech panie siadają. — I pod osłoną parasoli przeprowadził panie z sieni do powozu.

Panie poczęły się sadowić w powozie.

— A pan?

— Ja na koźle z furmanem.

— Ależ my nie możemy na to pozwolić, pan zmoknie.

— Ależ pani dobrodziejko.

— Ależ panie, żadną miarą, inaczéj wysiądziemy— odezwała się mama, kryjąc czułość do przyszłego zięcia, w surowe postanowienie.

— Będzie ciasno. —

— Nic panie, moje córki muszą się ściskać, byle panu było wygodnie. A toby było ładnie, żebyś pan miał moknąć dla nas. No, prosimy.

Ulegając natarczywym prośbom Brunet, wtłoczył się do powozu i kosztem sukien balowych zdołał jaki taki kącik znaleść dla siebie. — Odetchnąwszy, zawołał:

— Jedź!

Powóz się nie ruszył.

— Jedź! powtórzył głośniéj.

Powóz ani drgnął.

— Może usnął — zauważyła mama — oj, ci służący. Hej ty! jakże pańskiemu służącemu na imię?

— Na imię? — Kawalerowi nie podobna było prędko na to pytnie odpowiedzieć. — Na imię mu Grzegórz — mnie się zdaje.

— Grzegorzu jedź!

Chwila milczenia i oczekiwania. Bruneta ta scena zakłopotała i niecierpliwiła. Rozgniewany wychylił głowę oknem, by złajać furmana, wyjrzał i osłupiał — ani furmana, ani koni nie było — domyślił się, czyją to była sprawka.

— Ha, urwisz!

Położenie Bruneta było tragiczne — kręcił się, pocił, rumienił — nie wiedząc co powiedzieć, co zrobić z mamą i trzema córkami, z sobą i z powozem.

Spytacie, co się daléj stało? Łatwo przewidzieć. Udało się Brunetowi przekonać panie, że został okradziony przez własnego furmana, tylko tego niemógł wytłomaczyć, dla czego furman kradnąc konie zrezygnował z nowego powozu. W końcu te panie widząc, że powóz nie lokomotywa, więc bez koni nie ruszy, pełne ubolewań nad biednym Brunetem, złorzeczeń na nieuczciwość sług — urządziwszy toaletę stosownie do pory deszczowéj — drobnemi nóżkami przebierały się do domu przez kałuże wody — zostawiając Bruneta i jego powóz na pastwę losu. Brunet wachał się i rozpaczał. Co tu robić? Nocować w powozie przed oknami kochanki — czekać białego dnia — niepodobna. Zostawić powóz, także niepodobna, bo przepaść może. Do namysłu nie był czas zbyt sposobny, bo deszcz lał jak z cebra. W rozpaczy elegant nasz chwycił za dyszel i usiłował z nadludzkiém wysileniem ciągnąć powóz do miejsca jego przeznaczenia. Wtém:

— Kto idiot? — zawołał nadchodzący patrol i zatrzymał zmęczonego rumaka we fraku i białych rękawiczkach.

Rozumie się, że nie łatwo było Brunetowi wytłomaczyć, w jaki sposób jego powóz przyszedł do tak eleganckiego zaprzęgu, do tego opowiadający począł się mięszać w opowiadaniu i wikłać — to wszystko wydawało się patrolii niejasne i podejrzane. Zabrano więc eleganta i powóz na bezpłatny nocleg do cyrkułu. — Tak więc zemsta rywala zrobiła, że nasz zakochany zmuszony był przemarzyć tę noc, tak pięknie rozpoczętą, w towarzystwie pijaków i włóczęgów. Na drugi dzień za przyjściem komisarza po dość długiém badaniu rzecz cała się wyjaśniła i Brunet i powóz zostali wypuszczeni na wolność.

W skutek téj przykréj nocnéj afery przyszło podobno do pojedynku. Brunet w nadziei, że Blondynowi braknie odwagi strzelać się, wyzwał, i sam dla lepszego pozyskania sobie posagu i serca Wicuni, rozgłaszał o nastąpić mającym pojedynku — przedstawiając rozumie się jako powód tegoż nie powóz jeno pannę. Ale nieszczęśliwym przypadkiem Blondyn jakoś na seryjo wziął pojedynek, wysłał sekundantów, którzy ze względów policyjnych uważali za dogodniejszy pojedynek amerykański. Brunet wyciągnął pistolet nabity. Równocześnie dostał od Vortänzera wiadomość, że w szkatule pana Radcy pustki, że nawet bal odbył się za pożyczane pieniądze. Zrozpaczony tém, zamknął się w swoim pokoju — wziął do rąk nabity pistolet, strzelił — i chybił. —

Jest do wzięcia — za zięcia.

Dla wiadomości matek i ojców którzyby chcieli wydawać bale dla szczęścia swych córek, dodam, że mieszka obecnie w areszcie dłużniczym.

Niestańczyk.

Z PRZYRODY.

Djamenty.

(Ciąg dalszy — patrz Nr. 13.)

I tu można łatwo dowieść, że cała różnica jest tylko w układzie pojedynczych nitek.

Djament posiada jednak pewne swoje przymioty, które nadają mu cenioną wartość; temi są: nadzwyczajna moc łamania światła, nierozpuszczalność w żadnym płynie i twardość. Z powodu pierwszéj własności używany jest djament na soczewki w drobnowidzach (mikroskopach), które przez to wielkiéj nabierają wartości. Pierwszéj soczewki tego rodzaju użył Pritchard w Londynie. We Francyi sprzedają takie soczewki od 24—32 złr. w. a. Co do swéj nierozpuszczalności djament równa się z węglem. Jak starożytni przyszli do tego mniemania, że djament rozpuszcza się w krwi koziéj, nie można sobie dotąd tego wytłomaczyć. Nadmienia o têm Pauzanius i Percival. Ze zwykłym węglem ma djament jeszcze wspólne własności, że się nie topi i nie ulatnia.

Twardość djamentu stała się przysłowiem. Nie dzielimy tu jednak zdania Pliniusza, że djament nie boi się młota na kowadle, bo na têm równie jak szkło rozpryska się w różne strony. Jego twardość polega na têm, że nim każde ciało rysować można; a na nim żadne nie zrobi rysy. Téj własności najbardziéj zawdzięcza djament swą użyteczność; o ile go używają szklarze, każdemu wiadomo, biorą oni do tego drobne kawałki, których obrabiać nie można. Dla zegarmistrzów jest on również użytecznym, dziś nawet mimo pierwszego znacznego nakładu używają go w Anglii we fabrykach drutu, robiąc w nim dziurki do przeciągania drutu, ażeby średnica tychże jednostajną była. Używają także proszku djamentowego do gładzenia innych kamieni.

Nie te jednak przymioty są powodem, że djament tak jest drogim, ale połysk jego i powierzchowność. Jak dziecko, które połyskującą rzecz naprzód chwyta, nie myśląc o wewnętrznéj jego wartości, tak i dojrzały człowiek. Zawsze popyt o te kamienie jest większy, aniżeli o każdy inny towar i to utrzymuje go w takiéj cenie. Ubieganie się ludzi o ozdoby i stroje ma swych obrońców, którym możemy przypomnieć tu słowa Cicerona! „Nie niema tak głupiego, aby nie znalazło obrońców“, ci usprawiedliwiają tę słabość i mówią: że zadowolenie próżności jest nieoddzielne od natury człowieka, wszakże Eskimos lub Neger zostający na ostatnim szczeblu oświaty, temu ulegają, skoro tylko zaspokoją pierwsze potrzeby żołądka.

Djamenty nie trafiają się w pierwotnych pokładach, ale w piasku rzek, namuliskach i między żelaznemi kwarcami. Najstarszemi i najbardziéj obfitującemi kopalniami djamentów są Bolkonga, Golkonda, Visapor i Hyderabad w Indyjach zachodnich. W Golkondzie znajduje się djament w pokładach ziemnych ciągnących się przez góry. W pobliżu Pannah pracuje około 1000 robotników nad ich wydobywaniem, w kopalniach Golkondy daleko więcéj ich pracuje. Także znajdują się djamenty w Borneo, w Sukodoma znajdują je po brzegach rzek, albo téż wydobywają je nurki z dna rzek. W szczególny sposób odbywa się tam handel na djamenty. Kupcy zgromadzają się w jednym domu, pokazują kamienie kupującym, a potém kładą rękę pod chustkę. Cały targ odbywa się pod tą chustką zapomocą dotknięcia to całéj ręki, to palcy, lub téż ich członków; nikt nie mówi ani słowa, ażeby drudzy ani o cenie, ani ile kupujący obiecuje, nie wiedzieli.

W Brazylii odkryto przypadkiem djamenty w r. 1728. Płuczki złota były tam oddawna w użyciu, ale na odrzucony piasek i krzemienie nikt uwagi nie zwracał. W stanie natury djament jest niepozorny, muszą być umiejętnie poszukiwane, bo nieświadomy nie zwróci na nich uwagi. Z tego téż umiał korzystać jeden z zamieszkałych tam, wyzbierywał takie djamenty, a zebrawszy większą ich ilość, popłynął z niemi do Portugalii, sprzedawszy je, znaczny pozyskał majątek. Ponowiony raz jeszcze taki wypadek, zwrócił dopiero uwagę rządu i od roku 1730 ogłoszono regalija na djamenty. Wiadomość o odkryciu nowych kopalń djamentów, przestraszyła kupców, bali się zniżenia ceny. Nawet nie wahano się puszczać wieści, że djamenty z Brazylii są to tylko wybiorki djamentów z Indyj zachodnich. Ale Brazylijczykom nie brakło konceptu posyłali swe djamenty do Indyj i ztamtąd dopiero szły w handel. Taka sama obawa zniżenia cen drogich kamieni, ponowiła się w r. 1843 z odkryciem kopalń w Liniora przy Bahia; ale drogość tam panująca i niezdrowy klimat, rozproszył wkrótce tłumy, szukających djamenty, a o zniżeniu ceny nie było mowy. Dziś Brazylija tylko dostarcza djamenty, w Indyjach już je przebrano.

(Ciąg d. nast.)

Swięto pokoju.

Podaliśmy poprzednio obraz robót, rozpoczętych na obszarze przeznaczonym dla wystawy powszechnéj. Od owego czasu upłynęło kilka miesięcy, a praca zaledwo dopiero w połowie jest dokonaną. 1go kwietnia została wprawdzie wystawa uroczyście otwartą, upłynie jednak jeszcze przynajmniéj miesiąc, zanim przygotowania się pokończą. Dzisiaj jest to jeszcze chaos, wśród którego dla myśli niema spoczynku. Ogromny hałas wznosi się pod niebo z ogrodów, z kuźni, z pałaców Pola-Marsowego — w szlachetném, pokojowém współzawodnictwie, spotykają się tam narody wielkie i narody najdrobniejsze, z jednakiem pragnieniem triumfu w téj olbrzymiéj walce. Z najdalszych kończyn świata, po najgorszych drogach, po nieznanych ścieżkach, przez najgroźniejsze morza, od północy na południe, od wschodu na zachód, z gór do podziemnych głębin, zewsząd wyruszyły armie robotników, pracujących dla żywienia, obrony i przyjemności świata. Pole-Marsowe stało się na-

gle ogrodem, fabryką, kuźnią, folwarkiem, miejscem schadzki dla wszelkich płodów umysłu ludzkiego, wszystkich gleb i klimatów. Francyja rozstawia swoje tkaniny, materyje, wstążki, aksamity, klejnoty, broń, desenie, ogromne maszyny, narzędzia, wyrównujące dokładnością obiegowi planet, teleskopy, o jakich Galileusz nie marzył. W wybornéj harmonii zlewają się kolory, lekkie wdzięki, energiczne siły, ścisłe produkta milionów robotników obojga płci. A w tém wszystkiém sam Paryż, to zarazem wielki artysta i wielki robotnik, przykład i wzór; a jeżeli spotka pracownika zręczniejszego, to podaje mu gościnną rękę — jakakolwiek ojczyzna jego, jest on pożądanym w tém zamkniętém kole pracy ludzkiéj. Walka to pełna dworskości, broń godziwa, żadnych podejść i zasadzek, każdy *dla* wszystkich, każdy *u* wszystkich. Lecz każdemu z osobna jego sława i jego praca. I tak rozpoznajemy już Wschód po złocie, Szwecyją po żelezie, Stany Zjednoczone po sile, Szwajcaryją po cackach, Niemcy po obficie zastawionym stole, Angliją po przemyśle, Francyją po elegancyi, Belgiją po tém zręczném i umiejętném naśladowaniu, które stanowi część jéj geniuszu — a Polskę? — dla niéj niema osobnego miejsca, a jednak już w dniu otwarcia zatrzymał się Napoleon i cała publiczność przed Matejki obrazem, którego przedmiot objaśniał austryjacki komisarz. Oprócz tego cóż możemy posłać na to święto pokoju!? chyba ziemię kapiącą krwią, urnę łez, stryczki z wisielców, łachmany z wygnańców, zakopańskie żelazo, lirę i wielicką sól. — Niepodobna już dzisiaj objąć całości wystawy, trzeba zaczekać, aż dzieło stanie w całéj okazałości ciszy, aż po zamięszaniu zapanuje porządek. Lecz już to zamięszanie wzbudza niezmierny interes. Od gliny do djamentów, od złotéj wazy do drewnianéj rzeźby, od arfy do rozgłośnych trąb, dobrych do muzyki kościelnéj i do wojny, od kwiatu do narzędzi rękodzielniczych, od zegaru do kompasu, od strzelby, jaka była wczoraj do téj, jaka będzie jutro, od malarza do snycerza, od chemika do marynarza; to wszystko olśniewa, człowiek patrzy, podziwia, staje w osłupieniu. Wpośród wyczarowanych z pod ziemi pałaców, lepianek, domów z kamienia i cedru, ileż tam nadziei i marzeń i współzawodnictwa? Jakaż to różnica od owéj pierwszéj może wystawy za Nerona, lat temu jakie 1800, a o któréj wspomina Seneca: „Przypatrzyłem się uroczystéj wystawie bogactw Rzymu, widziałem dziwy, arcydzieła, tkaniny, materyje, ubiory z najdalszych stron i razem zgromadzone wszystkie dzieła, które naród-król rozsiał po całym świecie“. Ileż to światu przybyło od owego czasu, ile ludzi, ile wynalazków, ile przepychu, ile nędzy! Każde państwo ma wyznaczone osobne miejsce dla siebie i w parku i w pałacu, do którego ośm bram prowadzi.

A jakby osobna potęga, tworząca odrębną grupę, zajmuje osobne miejsce praca, nędza; osobna wystawa krzywdy i ciemnoty. Obnażone rany ludzkości stają tam na to, aby szukano lekarstw i gojono je.

Cała wystawa podzieloną jest na dziesięć grup.

Dziesiątą stanowią przedmioty, mające za wyłączny cel polepszenie fizycznego i moralnego stanu ludności. Składa się ona z 7. działów, mających z porządku następne liczby:

89. Materyjał i metoda nauki dzieci.

90. Biblioteka, materyjał naukowy dla dorosłych w rodzinie, w pracowni, w gminie, w stowarzyszeniu — statuta, plany, sprawozdania z zakładów odnośnych.

91. Meble, ubiór, pokarm wszelkiego rodzaju, odznaczający się pożytecznością i taniością.

92. Okazy ubiorów ludowych różnych krajów.

93. Wyroby wszelkiego rodzaju rękodzieł.

94. Narzędzia i sposoby pracy, właściwe różnym rękodziełom.

Nadto zebrała się komisyja „Połączonych biur dziesiątéj grupy,“ mająca na celu rozpoznać wszelkie instytucyje, które założyli we Francyi, bądź to naczelnicy przemysłu, bądź robotnicy sami; nietylko w celu ulepszenia fizycznego i moralnego stanu, ale również w celu wyrównania różnic, jakie zachodzą między nagrodą za pracę, talent — a zyskami z kapitału, z fabryk itd. Rząd ustanowił szereg nagród, od 100,000 fr. dla zakładów, podniesionych w powyższych celach. Katalog 10. grupy okazuje, że przyszłość to jest wolność z pokojem i porządkiem, należy do stopniowego rozwoju ludowych instytucyj, do udziału pracy w bogactwach. Aby urzeczywistnić wolność potrzeba, ażeby [illegible] podnosiły się nietylko w dobrobycie, ale i w moralności i w [illegible]kształceniu; — to prowadzi nas wprost do najważniejszéj sprawy [illegible] wychowania.

I tak 9. grupa zajmuje się wyrobami [illegible]cy, a 10. robotnikami i robotnicami, czyli samąże siłą pracującą, która jest rozumną i wolną, myśli, kocha, cierpi i znosi. Za granicą [illegible]ądy, potęga stowarzyszeń, zajmuje się dziś bacznie zaradzeniem [illegible]półecznéj nędzy materyjalnéj i umysłowéj. U nas niema zbiorowych sił, a niemniejsza nędza i ciemnota. Weźmy po miastach czeladź rzemieślniczą, wszelkie wyrobnice, szwaczki; a na wsi większość ludu, jakiż to proletaryjat umysłowy! Tém ważniejsze więc są u nas zasługi pojedynczych usiłowań zwróconych w tę stronę, lecz których niestety jest tak mało!

Oto zarys wystawy pobieżny, jak ona się już dziś przedstawia. Rozpatrywać się będziemy następnie w pojedynczych działach w miarę, jak roboty postąpią i o ile nas co bliżéj obchodzi.

W piątek 12. t. m. miał Sz. Radca Langie odczyt o „dobroczynności“. Głosem donośnym i śliczną polszczyzną odczytał Sz. Radca rzecz swoją. Zastanowił się nad solidarnością wszystkich stanów, nad rozmaitemi stopniami materyjalnego bytu, począwszy od dostatków, aż do nędzy. Przeszedł historycznie rozmaite w różnych czasach i krajach ustawy przeciwko ubogim, podniósł łagodność ustaw polskich, podniósł niedostateczność wszelkiéj urzędowéj dobroczynności, wobec cnoty miłosierdzia; opowiedział wreszcie różne sposoby obchodzenia się z największymi nędzarzami, z obłąkanymi. Krótkość czasu nie dozwoliła mówić o instytucyjach, stowarzyszeniach dobroczynnych, o ustawach względem ubogich. Tę ekonomiczną stronę przedmiotu odłożył Sz. Radca na inny raz.

Do Nru dzisiejszego dołącza się nuty dla prenumerujących.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.